

A oczy maków patrzyły II

/zakończenie/

Kiedy wreszcie zostają sami, pragnie opowiedzieć Markowi o wszystkim, jak jej teraz ciężko wśród ludzi, że tęskni za Anią i za nim, a tak rzadko pisywał... Marek wymawia się końcowymi egzaminami, nawałem prac projektowych i już wyciąga książki. Ale ona chce mu wszystko wytłumaczyć.

- Wcale nie jestem inna niż pięć lat temu... Czuję się zupełnie tak samo, jak wówczas. Nawet teraz, pomimo ciąży...

Marek odrywa wzrok od podręcznika, ale nie patrzy na Marię, a ona ciągnie swoje:

- Wcale nie mam zmarszczek. I zobaczysz, że utrzymam figurę...

Urywa stropiona, bo Marek przysuwa bliżej książkę i pochyla się nad nią, wspierając głowę na rękach i osłaniając uszy. Marii wydaje się cały niczym zamknięta świątynia obcego wyznania.

Odtąd staje się wobec niego ostrożna. Rzadko się odzywa. Tylko uśmiecha się bez przerwy. Tłumaczy Marka egzaminami, pogorszeniem się zdrowia matki, ale... Mimo wszystko wierzy, że jeszcze będzie jak dawniej.

Po urodzeniu Doroty Maria już wcale nie ma czasu ułożyć wszystkiego z Markiem. Nie może się z nim dogadać. Cokolwiek wyrazi głośno – od razu staje się to czymś innym. Czyżby słowa oddawały jedynie niewielką część prawdy? – myśli w popłochu.

Któregoś dnia Maria na wystawie księgarni dostrzega obraz przedstawiający maki. Ciągnie tam zaraz Marka, pokazuje uradowana, ale on krzywi się:

- Banalna reprodukcja.

Maria czerwieni się i odwraca gwałtownie. Jak to się stało, że Marek zapomniał o makach, tamtych, które zbierał na skraju żyta, gdy ona siedziała na miedzy pełna spokoju i radości? Znosił jej całe naręcza i brnął w zboże po następne. Nieśli potem olbrzymi bukiet maków, znacząc drogę czerwonymi płatkami.

Podejrzewa, iż Marek wcale nie zapomniał, tylko żałuje, bo gdyby nie te maki, inaczej by ułożył sobie życie.

W kilka dni później, po powrocie z pracy, woła ja radośnie:

- Zobacz, co przyniosłem!

- Obraz? – Maria szarpie niecierpliwie sznurek. Zrywa papier. – Maki?! Te z księgarni?

- Przypominasz sobie tamte, które zrywałem dla ciebie w zbożu? – pyta uśmiechnięty.

Maria nie wie, czy przyznać się, że nieraz je wspomina, czy zaprzeczyć?

On wiesz obraz nad stolikiem, gdzie zwykle pija kawę, a ona zastanawia się, czy ma lubić ten obraz? Jeśli Marek żałuje tego, co się stało, to na cóż jej wspomnienia? Stara się więc siadać do obrazu tyłem.

Nigdy nie zdobyła się na pytanie, dlaczego się najpierw na tą reprodukcję krzywił, wybrzydzał, a potem sam ją przyniósł i zawiesił. Czym są dla niego te maki? Wspomnieniem, czy wypomnieniem? Woli nie wiedzieć.

Ania za nic nie chce powrócić do matki. Podobno przywiązała się do nowej żony Władysława, polubiła obu przyrodnych braci. Na wakacjach z Marią – boczy się onieśmielona, Dokucza Dorocie. I wraca uszczęśliwiona do ojca. „Jeszcze się wszystko ułoży” – wmawia sobie Maria.

- Niech pani uważa – szepcze jej na schodach sąsiadka – pani mąż ciągle asystuje takiej jednej, młodej...

Maria odwraca się pospiesznie. Odtąd nie patrzy w oczy koleżankom z biura. Może i one wiedzą? Jak zareagować? Zrobić mu awanturę? Zabrać Dorotę i wyjechać? Ale dokąd?

Zamyka się w łazience i długo ogląda siebie w lustrze. Bez litości szczypie otłuszczone biodro. Wynajduje koło ucha brodawkę ze sterczącym sztywno włoskiem. Czarne loki kręcą się nadal wokół jej – jeszcze niby ładnej – twarzy, lecz oczy zatraciły dawną skłonność do śmiechu. Zmieniła się. Usta zwiotczały. Szyja też. I podbródek. „Czy taką – myśli – może mnie pragnąć? Pewnie woli tamtą, ale mnie nie opuści, bo przyrzekł to swej matce. Tylko po co mi ktoś, dla kogo jestem obca?”

Patrzy bezradnie, jak Marek oddala się od niej. Niby uprzejmy, spokojny, ale unika jej oczu, omija ją ostrożnie, jakby lękał się dotknąć. Czy rzeczywiście jego ręce, jego usta były kiedyś gorączkowo zachłanne? Kiedy to było?

Coraz mniej ze sobą rozmawiają. Aż raz mówi do niego niskim, nieswoim głosem:

- Dlaczego z nami tak się stało?

- O co ci chodzi?

- Tak mało jesteśmy razem. Ciągłe masz konferencje, wyjazdy...

- Ależ, kobieto, to w moim zawodzie konieczne! Jako architekt muszę uczestniczyć w konkursach, zabierać głos na naradach. Aby coś w życiu osiągnąć, muszę jeździć, poznawać, wyrabiać sobie nazwisko.

- A ja?

- Co, ty? Ciągłe zajęta swoimi sprawami. Pewnie nawet nie wiesz, jak się nazywa to drzewo za oknem? Czytujesz romansidła i babskie pisma, traktujące jedynie o gotowaniu, odplamianiu i alimentach. Na świat trzeba patrzeć szerzej!

Maria nie odpowiada. Ucieka do kuchni. Naprawdę nie ma pojęcia, co to za drzewo za oknem. Patrzy na nie ciągle, lecz nigdy nie pomyślała o jego nazwie. Rzeczywiście wciąż tylko gotuje, sprząta, pierze. Marek do podobnych spraw się nie zniża.

Myjąc talerze pozwala płynąć łzom. Nikt tego nie widzi. A była przecież najweselszą dziewczyną w szkole. Jej poprzednie małżeństwo sama zniszczyła. Była za smarkata, za głupia i wszystko zaprzepaściła, bo zapragnęła Mara. Biegła ku niemu na oślep. I czemuż to zwycięstwo okazało się pyrrusowe? Niby ma Marka, ale szczęścia – mało.

Coraz bardziej unika ludzi. Lęka się nowych rewelacji o Marku. Podobno zachodzi do takiej w biurze na niewinną pogawędkę, nadskakuje. Bywa wówczas rozmowny, pogodny, usłużny. Ich córka jest niewiele młodsza od tych dziewczyn. Wariuje z wiekiem czy zawsze był jedynie mizernym podrywaczem? Ktoś go tak przed laty określił, a ona zaprotestowała krzykiem. Od tamtego czasu już nie krzyczy.

Nieraz długo śledzi zza poręczy, aż się rozejdą sąsiadki, by zejść bez narażania się na szept: „Ma teraz za swoje! Los jej odplacił za tamtego.” I tak domyśla się niejednego z urywanej na jej widok rozmowy. Wyobraża sobie może więcej niż jest.

Powoli przez milczące obcowanie ze światem i odbieranie go wyostrzonymi zmysłami – Maria zaczyna patrzeć na wszystko odmiennie niż inni. „Wariuję, czy co?” – zapytuje sama siebie.

Po latach matka Marii wybacza jej skandal z rozwodem. Pierwsza wysyła list i wybiera się w odwiedzin. Maria cieszy się, że wreszcie będzie miała komu opowiedzieć wszystko o Marku.

Nic jednak nie mówi. Przemilcza pytania matki. Zaprzecza domniemaniom. Boi się, że jak ujmie to w słowa, to co dotąd niepewne, stanie się rzeczywistym. Lepiej wmawiać sobie, że to tylko przeczucie, przywidzenia, złośliwe plotki. Trudno przecież wymagać od męża, aby po tylu latach był nadal tak czuły, jak w czasach pierwszych, ukradkowych spotkań.

Nie chce i nie potrafi oczernić Marka przed matką. Co by to zresztą zmieniło? Lepiej udawać. Przymykać oczy. I niech będzie, co ma być.

Matka wyjeżdża zadumana. Trudno.

W końcu przybywa i Anna!

Nie widziały się kilka lat. W okresie dorastania zaczęła matkę potępiać. Bez miłosierdzia odsyłała nieczytane listy. Prośby do Władysława, by wpłynął na córkę, nie skutkowały, bo jak pisał, Ania jest na tyle samowolna, że nie pozwala sobą kierować. Nieoczekiwanie sama napisała do matki i zgodziła się przyjechać.

Skończyła już studia. Pracuje. Ma chłopca. Planują ślub. Maria przygląda się jej onieśmiewioną poczuciem winy. Ania nie jest ładna. Elegancka, nawet wytworna, ale szara i nijaka.

Trzeba się będzie przed nią z niejednego wytłumaczyć. Ona pewno nie ma pojęcia, że w tym domu wiele się przemilcza. Byle nie zapytała, czy taki wybór matkę uszczęśliwił? Czy warto było?

Na razie rozmawiają o podróży i pogodzie. Krzyżują się skrępowane, przypadkowe zdania. To, co jest naprawdę ważne, tak trudno wyrazić słowami. Nadaje się jedynie różnym sprawom nazwy, ale są one tak bardzo odległe od istoty rzeczy...

Dorota patrzy na przyrodnia siostrę zaciekawioną, prawie jej nie pamięta, lecz Anna ją ignoruje. Wyciąga papierosy, Marek podaje ogień i ta osłania się dymem od oczu obu kobiet, aż Dorota zaszępiła opuszcza pokój. Wreszcie, strzepując popiół, pyta:

- Co teraz Marek projektujesz? Myślisz o konkursie na stadion?

- To wy się znacie?! – Maria cofa się zaskoczona. No tak, Ania też jest architektem. Co za zbieg okoliczności.

- Pamiętam Marka z dzieciństwa – śmieje się córka z przymusem. Miałam wtedy aż pięć lat. Ale od razu poznałam go na konferencji w Warszawie. Przegadaliśmy cały wieczór. Nie opowiadał?

- Jesteście na ty? – dziwi się matka.

- Taki zwyczaj w naszym środowisku – odpiera Anna, wydmuchując dym w jej stronę. – On jeszcze nie tak wiekowy. Moim rówieśnikom głowy zawraca... – widząc przerażenie w oczach matki, milknie speszona.

Maria wybiega po pastylkę na uspokojenie. Spogląda przypadkowo w lustro i wydaje się jej, że za szklanymi drzwiami pokoju wielki cień Marka chwyta w objęcia drobny cień Anny. Krzyk wyrwa się z zaschniętych ust Marii sam. Najpierw cichy. Potem coraz głośniejszy, bez słów.

Wrzask wyzwala to, co nabrzmiało latami pod pokładami milczenia. Zatyka uszy, sama przerażona, i krzyczy na całe gardło.

Krystyna Habrat

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Krystyna Habrat, dodano 19.10.2012 07:31

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).